

# Ślady coraz mniej wyraźne

Idziemy po sprasowanym wiatrem śnieżnym zboczu, nachylonym pod kątem około czterdziestu stopni w stronę Nepalu. Kiedy szczyt? Kilkakrotnie wydaje się, że za chwilę na nim staniemy. Ale to tylko kolejne spiętrzenie grani zasłaniające dalszą drogę. Wciąż idziemy stroną nepalską. Po przeciwległej, tybetańskiej, są wywieszane nawisy śnieżne.

Wyraźnie czuję, że to już ostatnie metry. Chyba euforia powoduje, że jak na tę wysokość idę szybko. Willy zostaje za mną. Z pewną obojętnością, jakby nie mnie to dotyczyło, zauważam, że sprasowany śnieg na zboczu może być niebezpieczny. Niekiedy po postawieniu stopy wysuwa się spod niej niewielka śnieżna deska.

Kolejne wzniesienie grani. Duszę się. Coś niedobrego dzieje się z moją maską tlenową albo butlą. Przypominam sobie Kurta, który ostrzegął, że wiatr wiejący stale od Nepalu może mrozić wlot powietrza do maski, znajdujący się z lewej strony. Kurt miał z tego powodu spore kłopoty. Domyślam się więc, że i mnie przytrafiło się to samo, bo przecież tlenu mam jeszcze sporo. Jedyne, co mogę zrobić, to zdjąć maskę i iść bez tlenu. Szczyt jest blisko, nie dalej niż na odległość pięćdziesięciu metrów. Pięćdziesiąt metrów! Wydaje mi się, że idę tak samo jak poprzednio z tlenem. Nie mam już wątpliwości, że dojdę mimo braku tlenu.

Po sześciu godzinach i piętnastu minutach podchodzenia z Przełęczy Południowej, po pokonaniu ośmiuset pięćdziesięciu metrów różnicy wysokości, staję na wierzchołku Mount Everestu.

Nasz czas wejścia jest drugim czasem w dotychczasowej historii zdobywania tego szczytu.

Koledzy już zrobili sobie nawzajem zdjęcia z flagami swoich kra-

jów. Żartujemy, że jesteśmy wyżej niż inni zdobywcy Everestu, bo nie widzimy przysypanego wielometrową warstwą śniegu chińskiego triangułu.

Zdejmuję plecak, zapominając, że mam w nim butlę połączoną przewodem z maską. Maską spada – i tak nie na wiele przydatna, gdyż jest oblodzona. Wtedy mówię kolegom, że szłam bez tlenu, bo mam zalodzoną maskę. I tu niespodziewany gest Sigiego – wziął ją i odmroził własnym oddechem. Zakładam maskę i zaczynam grzebać w plecaku, chcąc wyciągnąć ciepłe rzeczy, ale jestem tak zmarznięta, że nie mogę poruszać się swobodnie. Zdejmuję rękawicę, by szybciej dobrać się do plecaka. Udało się. Z ulgą naciągam puchowe spodnie i kurtkę. I kiedy zrobiło mi się cieplej, nareszcie uprzytamniam sobie...

Jestem na najwyższym szczycie Ziemi, a obok stoją moi partnerzy. Dopiero teraz przychodzi radość. Najpierw gratuluję Mingmie i Ang Dorje – obydwaj weszli na szczyt bez tlenu. Potem całujemy się z Willym, a że zapomnieliśmy zdjąć maski, więc tylko śmiesznie potracamy się nimi, usiłując się objąć w naszych puchach. Nie poznaję Sigiego, który nagle mówi: – Wprawdzie kłóciliśmy się, ale tutaj nie ma to znaczenia.

Pewnie odczuwa tę samą radość zwycięstwa co i my. Robert chce się ze mną sfotografować – Polka i Szwajcar w zespole niemieckim. Wyciągam z plecaka biało-czerwony proporczyk, ale wiatr porywa go na stronę chińską. Na szczęście mam jeszcze proporczyki Polskiego Związku Alpinizmu oraz Polskich Linii Lotniczych.

Każdy z nas pozostawia coś na szczycie. Hans Engl zostawił tu obrazek namalowany przez swoją córeczkę, Sigi – fotografię żony. Ja zostawiam kamyk od Ireny – symbol przyjaźni. Długą przebył drogę – od skałek, w których stawiałam pierwsze kroki, aż do najwyższego szczytu Ziemi. Moja radość nie jest butna, nie podnoszę rąk do góry gestem brania świata w posiadanie. Jest skierowana do wnętrza, pełna pokory i wdzięczności. Górę traktowałam jak przeciwnika, bez ciepłych uczuć dla jej piękna i potęgi. Pozwoliła mi zwyciężyć i nie mogę chełpić się zwycięstwem. To byłoby tak, jakbym chełpiła się jej łaskawością.

Myślę o moich bliskich, o innych ludziach, którzy z tej odległości są mi również bliscy. Podobnie muszą chyba myśleć kosmonauci – Ziemia wydaje się ich rodzinnym domem, a ludzie jedną rodziną. Codzienność pozostawiona na dole z tej perspektywy zdaje mi się bardzo droga.

Jak najdokładniej staram się zapamiętać to, co widzę ze szczytu. Strona tybetańska jest mniej ośnieżona i dlatego wydaje się bardziej przystępna, swojska. Strona południowa, nepalska, to morze ośnie-

zonych gór, dzikich i groźnych. Na pierwszym planie postrzępiona grań Nuptse. Do dziś nie opuszcza mnie wspomnienie świetlistości otaczającego krajobrazu. Nie znam jego prawdziwych kolorów, ponieważ na tych wysokościach nie można zdjąć ciemnych okularów, nawet na chwilę, do pamiątkowej fotografii. Zdejmuję tylko maskę tlenową i uśmiecham się do aparatu, zapominając, że twarz mam całkowicie zasłoniętą wełnianą czapką-kominiarką. Na fotografii jestem więc nierozpoznawalna, jak prawie każdy z osiemdziesięciu dotychczasowych zdobywców Mount Everestu.

(Wanda Rutkiewicz - fragment książki „Na jednej linii”)

12 maja dowiedziałam się, że mama umarła. Wszystko mi się zawaliło. Myślałam tylko o tym, by jak najszybciej spakować się i wracać do domu, do Warszawy. Opanowałam jednak ten pierwszy, rozpaczliwy odruch. Ze względu na mamę postanowiłam nie odpuszczać sobie Everestu i zdobyć najwyższy szczyt Ziemi - właśnie dla niej. To była moja trzecia próba i mama głęboko wierzyła, że tym razem stanę na wierzchołku. Choć obiektywnie patrząc na organizację mojej, pozał się Boże, wyprawy, szanse miałam niewielkie. Z piętki samodzielnie działających himalaistów nepalska agencja stworzyła dość dziwny zespół. Łączyło nas tylko to, że mieliśmy wspólne zezwolenie na zdobywanie Everestu, wspólny personel w bazie i wspólna kuchnię.

16 maja wyruszyliśmy z bazy. Pogoda nie napawała optymizmem, ale nie można było już dłużej czekać, bo za parę dni południowe zbocza Everestu miały być zamknięte dla jakichkolwiek wypraw.

20 maja przy bardzo silnym wietrze wspięliśmy się na Przełęcz Południową. Nasi Szerpowie pozostali gdzieś w dole z ekwipunkiem. Dotarli do przełęczy dopiero pod wieczór, uniemożliwiając nam w ten sposób wyjście na szczyt tego samego dnia, a właściwie nocy - bo tylko nocą wiatr nieco cichł.

Nazajutrz była niedziela. Siedzieliśmy w namiocie przez cały dzień i dopiero około dwudziestej trzeciej wyruszyliśmy na szczyt. Tylko we czwórkę, bez Kanadyjczyka, który wymiękł w obozie IV. Dostał ataku hysterii i zawrócił. Po drodze z Przełęczy Południowej Bill, ten dziwny Amerykanin, który przesiadywał ciągle sam w swoim namiocie, również wycofał się, tłumacząc, że dusi go maska tlenowa albo coś w tym rodzaju.

Saeed też miał opory - mówił, że wiatr z zachodu przyniesie złą pogodę i on nie zamierza w takiej sytuacji iść na szczyt. Pamiętam, że powiedziałam tylko: „Saeed, ty chyba zgłupiałeś. Pakuj się i chodź, bo inaczej stracisz szczyt”. Po czym nałożyłam maskę tlenową i wio!

Przez pewien czas, póki nie zawrócił, szłam obok Billa, potem właściwie sama. Mój Szerpa gdzieś się zawieruszył, śnieg sypał i niewiele było widać. Skupiłam się tylko na tym – do góry! I koniec. Jeśli na dole straci się zbyt wiele czasu, trzeba pożegnać się z marzeniami o szczycie. Z tego zdałam sobie sprawę dosyć późno. Nie umiałam wchodzić na szczyty. Dopiero na stare lata się tego nauczyłam.

Świetnie się czułam, dochodząc do Wierzchołka Południowego. Minęłam go, odczuwałam wielką przyjemność na tym ostatnim odcinku. Tyle że pogoda pogarszała się z minuty na minutę. Od północy nadciągnęły chmury śniegowe, zaczęło sypać. Musiałam zwolnić tempo.

Na głównym szczycie Mount Everestu stanęłam około dziesiątej. Byli tu już trzej Katalończycy, zrobiliśmy sobie nawzajem zdjęcia. Oni ruszyli w dół, a ja zostałam przez dziesięć minut zupełnie sama w najwyższym punkcie Ziemi.

Podczas zejścia spotkałam Saeeda i obiecałam, że zaczekam na niego. Usiadłam w wygodnym miejscu, wkrótce nadszedł ze swoim Szerpą. Zdobył szczyt, ale czuł się coraz gorzej. Mój Szerpa pozostał znów gdzieś, nie wiadomo gdzie, zresztą fatalnie wypadł w czasie ataku szczytowego. Żeby Szerpa był słabszy od swego klienta – to naprawdę wstyd! Nagle Szerpa Saeeda pognął w dół, nie wiedzieć czemu. Zostaliśmy sami. Saeed schodził coraz wolniej, przewracał się. W końcu usiadł i oświadczył, że nie ruszy się z tego miejsca. Jakoś udało mi się zmusić go do podniesienia się, przeszedł parę kroków i znów się przewrócił. Tym razem żadne moje perswazje nie pomogły. Powiedział tylko: „Anna, I’m finished!”.

Co wtedy pomyślałam? Właściwie nic. Stwierdziłam tylko, że nie jestem w stanie go ciągnąć. Mimo to szarpnęłam za uprząż i przeciągnęłam Saeeda parę kroków. Tylko że nie da się tak zejść z kimś z ośmiotysięcznika. Powiedziałam więc: „Dobra, siedź, a ja spróbuję sprowadzić pomoc”.

Nie pamiętam dokładnie, jak to się stało, ale początkowo szło mi się świetnie, a właściwie zjeżdżało na tyłku po śnieżnych polach, wzdłuż poręczówek. Nagle ocknęłam się i widzę, że wiszę na linie, właściwie na końcówce liny umocowanej do podłoża. Nad sobą zobaczyłam karabinek, kombinezon podarty, goła ręka – no pięknie! Nie wiedziałam, gdzie jestem, choć wiedziałam, że weszłam na Everest i że moja mama nie żyje. Tylko tyle wydobyłam z przyglonej pamięci.

Mieliśmy z Saeedem niewiarygodne szczęście. Znaleźli nas Szerpowie, podali mu tlen. Około osiemnastej byliśmy już oboje w namiocie na Przełęczy Południowej.

Mam satysfakcję, że na szczyt weszłam właściwie samodzielnie, nie towarzyszyli mi Szerpowie, wyręczając we wszystkim. Na dodatek byłam najstarszą kobietą na Mount Evereście; miałam prawie pięćdziesiąt jeden lat, gdy zdobyłam szczyt. Ale Mount Everest nie dał mi tej radości, jakiej się spodziewałam – nie miałam się z kim podzielić wszystkimi doznaniem. Po powrocie do kraju nie miałam poczucia misji, dzielenia się Everestem. Sama zapłaciłam za wyprawę, sama ryzykowałam i nie mam zamiaru z kimkolwiek się tym dzielić. Tak, to egoistyczne podejście – ta niechęć do dzielenia się. Dlatego też tak bliskie są mi zasady samotnego działania. Wprawdzie sama muszę wszystko zrobić, ale to, co osiągnę, jest tylko moje.

(Z relacji Anny Czerwińskiej, którą nagrałam w 2000 r.)

Na Przełęczy Południowej czułam się świetnie. A podczas ataku szczytowego miałam chyba najlepszy dzień swojego życia, jeśli chodzi o formę. Nawet nie miałam solidnej zadyszki. Podczas gdy na przejściu od jedynki do dwójki zdarzało mi się umierać... Bardzo żłudny jest Wierzchołek Południowy, bo człowiekowi się wydaje, że to już. Podczas gdy prawda jest taka, że dopiero tam zaczyna się żmudna wędrówka i ten nieszczęsny Uskok Hillary'ego. Ale idę, idę i myślę: „Kurcze, chyba się uda, ja pierdzielę!”. I pytam Szerpę, kiedy dojdziemy, bo on wyliczył, że między dziewiątą a dziesiątą. Popatrzyłam na zegarek, zaczęłam się tym już ekscytować.

Zeszłam z Wierzchołka Południowego, zobaczyłam, ile drogi przede mną, i trochę mi skrzydła opadły, bo to rzeczywiście jest jeszcze kawał drogi. Ale drobię te kroczki, idę, czuję się super, wyprzedziłam sporą część stawki, mijam ludzi, którzy umierają, są wycieńczeni w takim stopniu, że zastanawiam się, czy my jesteśmy na tej samej wyprawie, na tej samej górze.

Dochodzę w końcu do podszczytowego odcinka, patrzę, że nie ma Darka. Siadam, czuje motyla, który zaczyna rozkładać skrzydła i nieśmiało nimi trzepotać. Uczucie ciepła rozlewa mi się na cały brzuch i mówię: „Kurcze, zdobyłam Mount Everest!”. I dopiero wtedy zdaję sobie sprawę, że to nie ma żadnego znaczenia, że jedyne, co jest ważne, to droga. Nie tylko droga na Everest, ale cała droga, którą pokonujesz w środku, w sobie, wewnętrzna motywacja, a potem cała przemiana, jaka się dokonuje. Wszystko, co się stało, to najważniejsze – już się stało. Do szczytu pozostało mi piętnaście kroków. Usiadłam i czekałam na Darka. Nie ma to żadnego znaczenia – ani wobec wieczności (mówiąc filozoficznie), ani też nie jestem kimś szczególnym na tle tych ludzi, którzy to zrobili, osiągnę-

li. Bo czy to ktoś zrobił w czapce, bez czapki, z tlenem czy bez, wszedł tyłem, był pierwszą kobietą albo pierwszym zakatarzonym – nie ma to żadnego znaczenia. Sam fakt, że stanęłam na najwyższym szczycie świata, też nie ma znaczenia. Jedyne, co ma znaczenie, to to, że przeszłam jakąś drogę w sobie. Jadąc na Everest, myślałam, że nakarmię się tym sukcesem na wiele miesięcy, będę wstawać codziennie rano, patrzeć w lustro i mówić: „To ja, zdobywczyni Everestu!” Że wpłynie to na polepszenie mojego zdania na swój temat, że polepszy moją samoocenę, spowoduje, że będę miała wewnętrzne poczucie radości i zadowolenia, trwające nieprzerwanie od dnia wyprawy. A prawda jest taka, że nic takiego nie nastąpiło. Dla góry nie ma żadnego znaczenia, że na nią weszłam. A jeszcze biorąc pod uwagę ludzi, całą tę rzeszę, którzy to zrobili przede mną i zrobią to po mnie. Jedynymi ludźmi, którzy mogą mieć niekłamaną satysfakcję ze zdobycia Everestu, są Hillary i Tenzing. Oni mogli się czuć wyjątkowo, ja nie. Złapałam króliczka, więc sama sobie popsułam zabawę. Jeszcze nie zdążyłam zejść z Mount Everestu, a już myślałam o kolejnych wyprawach, o kolejnych szczytach. Dopiero Everest mi uświadomił, że nie do końca chodzi o cele. Chodzi o to, żeby cały czas być w ruchu. A ja naiwnie myślałam, że chodzi mi o wierzchołek świata...

(Fragment wywiadu Roberta Chojnackiego z Martyną Wojciechowską)

Wanda Rutkiewicz (16 X 1978), Anna Czerwińska (22 V 2000) i Martyna Wojciechowska (18 V 2006) – trzy Polki na szczycie Mount Everestu. Dwie wybitne alpinistki, profesjonalistki całe życie związane z górami – można powiedzieć – i dziennikarka telewizyjna, zawodowo pasjonująca się sportami ekstremalnymi. Przy okazji – reklamująca produkty mleczne, sama siebie określająca jako „produkt Martyna”. Dla Wandy Mount Everest był pierwszym zdobytym ośmiotysięcznikiem i zapoczątkował projekt „Karawana do marzeń”, czyli plan zdobycia pozostałych trzynastu, emfatycznie nazywanych Koroną Himalajów.

Anna stanęła na wierzchołku najwyższego szczytu Ziemi, mając już na koncie dwa ośmiotysięczniki – Broad Peak i Nangę Parbat. Mount Everest zaś stał się dla królowej Anny najcenniejszym klejnotem w Koronie Ziemi, którą tworzą najwyższe szczyty wszystkich kontynentów. A Martyna, jak się wydaje, poprzestanie na himalajskim debiucie, bardzo zręcznie wykorzystując szum medialny do promocji swych kolejnych przedsięwzięć.

Dlaczego pisząc raz jeszcze o Wandzie, w piętnastolecie jej zaginięcia na Kanczendźondze, przywołuję relacje z Mount Everestu również

dwóch pozostałych zdobywczyń? Otóż wydaje mi się, że różnice między nimi wynikają nie tylko z odmienności narratorek, różnic charakterologicznych czy temperamentów, ale przede wszystkim stanowią wręcz modelową ilustrację kierunku, w jakim rozwinął się alpinizm wyczynowy, coraz częściej nazywany komercyjnym. Czy Wanda odnalazłaby się w takim alpinizmie, kiedy to wystarczy dysponować jaką taką sprawnością fizyczną i odpowiednio zasobnym kontem, by stać się uczestnikiem komercyjnej wyprawy na Mount Everest, zdobyć go przy pomocy najwyższej klasy przewodników wysokogórskich i bezpiecznie powrócić do bazy?

Nie zamierzam dezawuować wyczynu Martyny Wojciechowskiej, ale odczuwam głęboką niesprawiedliwość losu – kiedy media zachłystywały się jej dzielnością, odwagą, urodą i tak dalej, mało kto zauważył, że zaledwie w kilka dni później Anna Czerwińska zdobyła Makalu, swój ósmy ośmiotysięcznik. Makalu, piąty co do wysokości szczyt świata, urodą porównywany z K2, ma opinię bardzo trudnego technicznie. Anna zdobywając go, potwierdziła swą markę jednej z najwybitniejszych himalaistek świata. A mimo to ten rzetelny, w pełni zasłużony sukces, stanowiący konsekwentny krok w wieloletniej drodze Anny ku najwyższemu szczytom, pozostał w cieniu jednorazowego wyczynu „produktu Martyna”.

Napięcie wokół rywalizacji pań w walce o najwyższe szczyty niezwykle wzrosło, gdy okazało się, że największe szanse na kobiecą Koronę Himalajów ma Austriaczka Gerlinde Kaltenbruner. 14 V 2006 zdobyła swój dziewiąty ośmiotysięcznik – Kangczendźongę, tragiczny dla Wandy Rutkiewicz szczyt, na którym czternaście lat wcześniej zaginęła. Trudno w tym przypadku uciec od symboliki dat – Gerlinde swój pierwszy ośmiotysięcznik Cho Oyu zdobyła dokładnie dwadzieścia lat później niż Wanda Mount Everest. Gerlinde Kaltenbruner uważana jest obecnie za jedną z najlepszych himalaistek na świecie, a biorąc pod uwagę jej wiek, ma przed sobą – jeśli w górach dopisze jej szczęście – długą himalajską karierę.

Można zastanawiać się, czy Wanda Rutkiewicz, według doniesień internetowych „zdetronizowana” przez Austriaczkę, jeśli chodzi o liczbę zdobytych ośmiotysięczników, nie osiągnęła więcej pod względem jakości swych wejść. Wprawdzie Gerlinde swoje wszystkie ośmiotysięczniki zdobyła bez tlenu, niejednokrotnie omijając drogi pierwszych zdobywców, uważane za najłatwiejsze, a wybierając trudne technicznie, ambitne przejścia kolejnych himalaistów. Jednak to Wanda była trzecią kobietą na Mount Evereście (po Japonce Junko Tabei i Tybetance Phantong) i pierwszą kobietą na K2. Gerlinde w stylu alpejskim przeszła południową ścianę Shisha Pangma i dokonała pierw-

szego trawersu szczytu z południa na północ, ale to Wanda zdobyła Nanga Parbat w zespole kobiecym, po raz pierwszy w takim składzie, zaś Cho Oyu i Annapurnę (południowa ścianą) samotnie.

Wanda często powtarzała, że w Himalajach śnieg, lód i skały są wszędzie takie same. Więc nie warto może wartościować dokonań obydwu alpinistek. Jedno jest pewne, że obydwie wyznaczyły odmienne drogi w najwyższych górach i obydwie mają już zapewnione miejsca w historii zdobywania Himalajów.

Jednak dla przyjaciół Wanda, mimo upływu lat, nie stała się postacią pomnikową. Chyba już zawsze, przeglądając Wielką Encyklopedię Tatrzańską, z takim samym zdziwieniem, pomieszaniem z satysfakcją, czytam jej biogram. To naprawdę ta sama Wanda, z którą kłóciłam się o psa, czy dyskutowałam o szyku zdania we wspólnej książce? Pamiętam tak wiele z czternastu lat przyjaźni i egoistycznie myślę, że ta pamięć powinna wystarczyć nam obu. Ale tak nie jest. Coraz mniej osób, nawet tych, jak mawia Michał Jagiełło, „siekniętych górami”, potrafi odpowiedzieć na pytanie, kim była Wanda Rutkiewicz. Jej królestwem były góry najwyższe. Dziś dziewczyny w szykownych, kolorowych ubrankach śmigają na czas na sztucznych ściankach wspinaczkowych, dopingowane przez kibiców, w blasku fleszy fotograficznych. Bezpiecznie, elegancko i widowiskowo.

Może by to się jej spodobało? Z urodą gwiazdy filmowej, znakomicie się ubierająca, również w górach, lubiła błyszczeć. Pewnie na takiej ścianie wyglądałaby rewelacyjnie. Trudno powiedzieć, zwłaszcza mnie, czy byłaby równie dobra technicznie. Znając jednak Wandę, mogę przypuszczać, że i do tego przyłożyłaby się solennie.

Przez jakiś czas po zaginięciu Wandy zdarzało mi się słyszeć pytanie, które nieodmiennie wyprowadzało mnie z równowagi - czy poszła na Kangczendzongę, by popełnić samobójstwo? Zdarzało mi się odpowiadać na nie może nazbyt brutalnie - że trzeba by mieć kompletnie pomieszaną w głowie, by leżeć na osiem tysięcy metrów, a wcześniej zaciągnąć kredyty na wyprawę i snuć plany przeniesienia się z mieszkania na dziesiątym piętrze do domu z ogródkiem. A po tym wszystkim spokojnie usnąć w śnieżnej jamie, mniej więcej dwieście metrów poniżej szczytu Kangczendzongi.

Pamiętam nasze rozmowy, kiedy to usiłowałam ją skłonić do zastanowienia się, co będzie robić, gdy już nie będzie mogła się wspinać. Odpowiadała, że nie wyobraża sobie takiej sytuacji. Było jeszcze parę ośmiotysięczników do zdobycia, coraz bardziej wciągał ją też film dokumentalny. Myślała o zaangażowaniu się w ruch sprzątania gór. Zasiadała w radzie honorowej organizacji Mountain Wilderness, powołanej przez środowisko akademickie Mediolanu, zaniepokojone przybierają-



cym na sile zjawiskiem zaśmiecania Dolomitów. Wanda to samo widziała w najwyższych górach, gdzie z roku na rok przybywa odpadków pozostawianych przez wyprawy. Niezależnie jednak, jakie plany snuła na przyszłość, zawsze związane były one z górami.

Mówiąc o sprzątaniu gór, uznawała też za słuszny pogląd, by nie ułatwiać ludziom dostępu do nich. Kolejka na Mont Blanc czy Kasprowy Wierch więcej, według niej, przyniosły szkody górom niż pożytku ludziom. W Polsce takie poglądy na początku lat dziewięćdziesiątych nie były zbyt popularne wśród turystów górskich, a kontrowersje wokół tematu zlikwidowania sztucznych ułatwień na Orlej Perci w ostatnich miesiącach wyraźnie podzieliły środowisko taterników i turystów.

Jeszcze w jednej dziedzinie, nie mającej nic wspólnego z górami, była w pewnym sensie prekursorką w polskim zaścianku. Nie było jeszcze second-handów, lumpeksów, szmateksów, nie wybuchła jeszcze moda polowań na markowe ciuchy z drugiej ręki, a Wanda już przywoziła z Zachodu większość swej garderoby kupowanej w takich sklepach bądź na wyprzedażach. To niemoralne, przekonywała, wyrzucać prawie nowe rzeczy tylko dlatego, że się znudziły. Podczas wakacji w Wiedniu z podziwem patrzyłam, jak z kolorowej sterty z niebywałą zręcznością wyciąga sztuka po sztuce fantastyczne ciuszki.

Można powiedzieć – skąpstwo. Ale jej postawa nie miała ze skąpstwem nic wspólnego. Była oszczędna w najlepszym tego słowa znaczeniu, nie akceptowała rozpasania konsumpcyjnego. Ale jeśli chodzi o sprzęt alpinistyczny, musiał być najlepszych firm (niektóre z nich reklamowała), bo od jego jakości zależało jej życie...

Rocznice, zwłaszcza rocznice rozstań z bliskimi, skłaniają do rozmyślań i dywagacji typu „co by było gdyby”. Czy zamiana jednego elementu w układance zmieniłaby całość na lepsze czy na gorsze. Próbuje sobie wyobrazić, jak wyglądałoby życie Wandy, gdyby powróciła z Kangczendzongi. I nie ma większego znaczenia fakt zdobycia bądź nie zdobycia szczytu.

Z pewnością próbowałaby kontynuować projekt „Karawana do marzeń” – coraz starsza, coraz mniej sprawna, z coraz większym trudem zdobywając fundusze na swe wyprawy. I ponosząc coraz większe ryzyko. Ale bez ryzyka, tak jak bez gór, nie potrafiła żyć.

Może sama zajęłaby się działalnością biznesową, co zrobiła Anna Czerwińska, by uniezależnić się od łaski sponsorów? Choć, gdy była ku temu okazja na początku lat dziewięćdziesiątych, odrzuciła jakiegokolwiek propozycje. Niekiedy jednak mówiła, że choć w biznesie nie widzi dla siebie szans, to odczuwa czasem ochotę, by się nim zająć. Prowadzenie interesów wydawało się jej pasjonujące, zwłaszcza gdy

robili to inni. Pieniądze to poczucie ważności, władza, niezależność – a dla ludzi takich jak ona, szansa na święty spokój.

O jednym jestem przekonana – z pewnością nie wróciłyby do swego zawodu, do pracy w Instytucie Maszyn Matematycznych, którego kierownictwo z tak ogromną wyrozumiałością traktowało jej częste nieobecności, godząc się na wieloletni, bezpłatny urlop.

Czy ułożyłaby sobie życie osobiste? Po śmierci Kurta na Broad Peak przestałyśmy rozmawiać o miłości czy choćby jej wyobrażeniu, o partnerstwie w związku, o odpowiedzialności za drugiego człowieka. Pogryzała się w samotności i milczeniu. W jednym z ostatnich wywiadów, przeprowadzonych przez Krzysztofa Kotowskiego, zamieszczonym na łamach „Nowego Świata” (14/15 marca 1992), Wanda opowiedziała o niezwykłym przeżyciu podczas wyprawy na Gasherbrumy w roku 1975:

Pewnej nocy pracowałam długo w bazie. Wszyscy już spali. Wyszłam przed namiot, góry stały ciche w świetle księżyca. Plusk wody, milczenie kamieni, spokojny rytm oddechów. Wszystko było tak na swoim miejscu i tak harmonijnie, że zrozumiałam – to jest moje miejsce. Odtąd znoszę w spokoju najdłuższe nawet pobyty w górach. Tylko gdy wracam do życia na dole, ze zdziwieniem i niepokojem przyglądam się, jak świat dokądś pędzi i pędzi. Wciąż jest coraz mniej słów, którymi się z nim kontaktuję. Słowa stają się nieważne, nieważkie, puste. Wolę milczeć. Coraz częściej milczę.

Wśród hipotetycznych scenariuszy życia Wandy po powrocie z Kangczendzongi szczególnie dwa wydają mi się wysoce prawdopodobne, a zarazem tak nieprzystające do jej charakteru i do tego wszystkiego, do czego w życiu dążyła i co osiągnęła.

Wariant pierwszy to wizja Patrycji Tomczak, mojej korespondencyjnej znajomej z Poznania, z którą kontakt zawdzięczam tej właśnie książce. „Inaczej”, czyli Wanda jako zniedołężniała staruszka. Po kolejnym wypadku w górach, przykuta od wielu lat do łóżka w przytulnym pensjonacie w Austrii, u podnóża Alp, z dożywotnią rentą ufundowaną przez austriackich przyjaciół.

Otoczona troskliwą opieką, a jednocześnie rozpaczliwie samotna, w pewnym momencie rozumiała, że wtedy, pod wierzchołkiem Kangczendzongi, dokonała złego wyboru.

Uciekła – po raz pierwszy w złym kierunku. Zeszła z Carlosem, pozostawiając w śnieżnej jamie pod szczytem coś najbardziej własnego. Coś, co teraz rozpoznała na okładce albumu „Caravan to Dreams”. Teraz, gdy nie może już wrócić na rozstajne drogi i wybrać inaczej niż

wtedy. Twarzą w twarz z bezpowrotną tajemnicą, początkiem i końcem, z Kangczendzongą. Biały wierzchołek oddalił się, zamazał, zawirował przesłonięty śnieżną zadymką, piekącą mgłą.

Wariant drugi – luty 2007, Zakopane, namiot na Równi Krupowej, impreza pod hasłem „Piwo na śniegu”. W środku ogłuszająca muzyka, błyskające światła i DJ jakiś tam, usiłujący podkręcić niemrawą atmosferę. Kilkoro młodych ludzi popijających leniwie piwo i nieliczna grupa osób wyglądających tak, jakby przed sekundą zeszli z gór. Po chwili muzyka cichnie, przed ekranem pojawia się najwybitniejszy polski himalaista i zaczyna opowiadać o podboju ośmiotysięczników przez Polaków. Ekran wypełniają góry, cały ocean gór. Patrzymy na twarze ludzi, którzy w tych górach pozostali, słuchamy ich opowieści, zapominając, gdzie jesteśmy i co się dzieje za naszymi plecami.

A tam piwo sobie płynie, piwosze wyraźnie znudzeni czekają na koniec Himalaya Story. „Bohater” wieczoru doprowadził nas pod zimową Nanga Parbat, spod której dopiero co powrócił po nieudanej wyprawie. Jednym ze sponsorów owej wyprawy był browar, serwujący pod namiotem piwo. Prelekcja wybitnego himalaisty stanowiła wywiązanie się ze zobowiązań wobec sponsora.

Smutne to wszystko było. Zrobiło mi się jeszcze smutniej, gdy pomyślałam o Wandzie. Co ona musiałaby reklamować, by kontynuować projekt „Karawana do Marzeń”? Proszek do prania o zapachu górskiego strumienia czy może jogurt zawierający kultury bakterii? I kogo obchodziłyby jej kolejne ośmiotysięczniki?

Anna Czerwińska wybiera się w czerwcu na K2 i swą wyprawę poświęci pamięci Wandy. Sporo czasu zajęło jej znalezienie sponsorów i zdobycie odpowiednich środków finansowych. Gdy rozmawiałam z nią kilka dni temu, wiedziała już, że wyruszy na K2. Znalazł się sponsor, i to jaki! Po spotkaniu biznesowym, na którym ustalono szczegóły przedsięwzięcia, Anna wróciła do domu z potężną, jak na miniaturę, figurą K2, misternie odlaną z czekolady.

Tak to wygląda krajobraz po wielu himalajskich bitwach. Bitwach wygranych, tyle że owoce tych zwycięstw za słodkie nie są.

Minęły czasy, kiedy ludzie mając okazję pojechać na wyprawę, rzucali wszystko na jedną szalę – pracę, rodzinę, karierę naukową. Teraz mało kto może sobie na to pozwolić. Góry stają się marzeniem, a nie sposobem na życie. Bywa i tak, że stają się sposobem na zarabianie pieniędzy. Trzeba jednak przyznać, że nie najłatwiejszy to sposób.

Wracając do Wandy i pamięci o niej – z wdzięcznością myślę o tych, którzy nie pozwalają, by ślady przestały być widoczne. Jest takie miejsce w Warszawie, gdzie co roku, w maju, spotykamy się z Wandą.

Muzeum Sportu i Turystyki, dawniej przy ulicy Wawelskiej, obecnie przy Wybrzeżu Gdyńskim, już w rok po zaginięciu Wandy zorganizowało Przegląd Filmów Alpinistycznych im. Wandy Rutkiewicz. Impreza początkowo skromniutka, dzięki dyrektorom Muzeum, Iwonie Grys i głównej organizatorce Wiesławie Wiśniewskiej, z roku na rok nabiera znaczenia i rozmachu.

Tyle już razy oglądałam „Temperaturę wrzenia”, „Wspomnienie z K2” czy „Ślady na śniegu”, a mimo to wiem, że jeśli nic nie stanie na przeszkodzie, co roku w maju przyjadę do Warszawy. I wiem, że spotkam się z tymi, którzy p a m i ę t a j ą.

Zakopane, marzec 2007